



KRZYSZTOF MICHAŁKIEWICZ ur. 1954; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	"A widzicie te hałdy za oknem? To już Rosja"
Zakres terytorialny i czasowy	Hrubieszów; po 1944 roku
Słowa kluczowe	więzienie, internowanie

"A widzicie te hałdy za oknem? To już Rosja"

Z perspektywy czasu oceniam to doświadczenie jako bardzo ciekawe, chociaż oczywiście wtedy bardzo trudne. Po wyroku grupę osób, które je otrzymały zapakowano do samochodu-więźniarki i ruszyliśmy w Polskę. Po drodze więźniarka zatrzymała się na chwilę. Wjechaliśmy na teren jakiegoś więzienia. To był Radom. Pozwolono nam wysiąść i skorzystać z toalety. Wsiadliśmy z powrotem i ruszyliśmy dalej. Dowieziono nas do więzienia w Łodzi. Tam nas rozlokowano po celach i tam przesiedzieliśmy kilka kolejnych tygodni. W Łodzi było dosyć nieprzyjemne więzienie. Próbowano nas straszyć, przesłuchiwać, wypytywano o rozmowy, które prowadziliśmy w celach. Mówiono, że są one za bardzo polityczne. Wychowawca, który brał nas na rozmowy i próbował straszyć zachowywał się jak typowy aparatczyk PRL-owski. Po kilku tygodniach przewieziono nas do Łęczycy i tam spędziliśmy kilka ładnych miesięcy, między innymi Święta Wielkiejnocy. W Łęczycy więzienie było bardzo malownicze, jeżeli można tak to określić. Było to stare carskie więzienie z bardzo grubymi murami, a cela w której spędziłem większość czasu była bardzo wąska. Jak się otwierało drzwi od celi to najpierw był kibelek, sedes, nad sedesem był kawałek pałąka metalowego, później była umywalka z półeczką, na której stały kubki metalowe (kubki dostawał każdy), później był drewniany stół i kilka stołków, później były 2 piętrowe łóżka, za nimi 2 następne piętrowe łóżka i koniec. W tej szczytowej ścianie na samej górze było małe okienko, po stołku można się było wdrapać i trochę przez nie wyjrzeć, nie za dużo, z tego względu, że okienko było osłonięte kratą. Później było okno, za oknem była siatka, za siatką była jeszcze jedna kratka i blinda. Także tylko przez szparę można było coś tam zobaczyć między oknem a blindą. Po drugiej stronie były 2 łóżka. Sześciuosobowa cela była wąziutka i tak naprawdę więcej miejsca nie było. Raz w tygodniu wychodziliśmy do wspólnej łaźni i wtedy była wymiana pościeli. Miało się 2 prześcieradła i poszewkę na poduszkę, no i drelich więzienny, chyba też jakieś kalesony, podkoszulek. Od funkcyjnych za papierosy kupiliśmy jedno ekstra prześcieradło i później od strony celi kibelek był trochę osłonięty prześcieradłem. Niestety od strony drzwi już nie wystarczało, więc człowiek tak korzystał z toalety. I tam spędzaliśmy cały czas. Część funkcji w więzieniach pełnią kryminaliści, którzy mają długoletnie więzienie i dobrze się zachowują, więc obsługują kuchnie, pralnie, fryzjera. To byli funkcyjni więźniowie. W ciągu dnia było pół godziny spaceru. Ten półgodzinny spacer polegał na tym, że w pewnej chwili był stukot w drzwi-"przygotować się do wyjścia". Trzeba było

się ubrać w buty i kurtkę, i drzwi się otwierały. Wychodziło się na korytarz, ustawiało się w szereg, strażnik nas prowadził do końca korytarza. Dzwonił, krata otwierała się, albo otwierało się ją kluczem, wchodziło się po schodach, następna krata, drzwi, wychodziło się za dziedziniec i na tym dziedzińcu był trawnik–kwadrat. Naokoło była ścieżka, po obu stronach była siatka i od góry także była siatka. Taki wybieg jak dla lwów. Wchodziliśmy w tą ścieżkę, w ten chodniczek. Jak się znajdowaliśmy po przeciwnej stronie to wpuszczano drugą celę. Strażnik stał i pilnował, żebyśmy nie mieli kontaktu ze sobą. Byliśmy ciągle w tej samej odległości. I tak pół godziny chodziliśmy w tej klatce. To był spacer w ciągu dnia. Natomiast tuż po wyroku zaczęły się pierwsze odwiedziny. Rodziny znalazły nas w Łęczycy i w końcu mogły przywieźć nam coś, jakieś papierosy przekazać czy kanapkę. W zależności od strażników te paczki były w większej albo w mniejszej ilości przekazywane. Ważne, że jakieś pierwsze rzeczy zostały przekazane, co istotne, także pierwsze książki, więc już było źle. Źle choćby z tego względu, że przed wyrokiem, na Południowej nie było widzeń. Widzenie było jedno albo dwa przez szybę i przez telefon, a strażnik nasłuchiwał. Bardzo emocjonalne było pierwsze widzenie z tego względu, że jak zostałem aresztowany to oczywiście przez kilka dni żona nie wiedziała gdzie jestem. Pierwsza została zawiadomiona o sprawie Lipca nasza koleżanka. Była w prokuraturze wojskowej na Żwirki i Wigury i w tym momencie żołnierze wprowadzili mnie na korytarz. I tak żona dowiedziała się, że jestem aresztowany. Za oknem na skrzyżowaniu stał czołg, a nasze dziecko, które miało prawie 3 latka w pewnej chwili mówi do mamy, że tatuś to chyba zabity. Wtedy ona wzięła go na widzenie do mnie. I to właśnie było to pierwsze widzenie przez szybę. Dziecko chciało do tatusia, krzyczało „tatuś”, a tatuś był za szybą. Także telefon nie był w stanie za dużo powiedzieć. Natomiast wracając do Łęczycy to było już całkiem normalnie. Były jakieś paczki, były książki. A jak były książki to już było źle. Tak naprawdę zaczęliśmy czytać, wymieniać się książkami, trochę dyskutować. Wieczorami próbowaliśmy robić także jakieś pogadanki, kto co ciekawego i o czym był w stanie opowiadać. I tak sobie miesiące płynęły. Cały czas myśleliśmy, że sytuacja w Polsce się zmieni, że coś się dzieje.

Któregoś dnia maja zabrano nas z Łęczycy. Wcześniej, 13 maja były chyba jakieś rozruchy pod bramą, więc ściągnięto posiłki, na dachach rozstawiono karabiny. Próbowaliśmy przez okno patrzeć co się dzieje. Normalnie oddział z bronią zabezpieczający więzienie jest oddzielny. Tylko ci stojący na wieżyczkach są uzbrojeni. A tu do naszej celi wpadli tacy uzbrojeni strażnicy. Jak wchodził strażnik czy oficer to wymagali, żeby się zrywać, ale ponieważ my byliśmy trochę bardziej polityczni to niekoniecznie chętnie to robiliśmy. Ja siedziałem na łóżku, on wpadł, reszta stała, a ja siadłem. Strażnik więc do mnie z krzykiem: „Co robisz?!” Ja na to: „Siedzę”. I wszyscy koledzy wybuchli śmiechem, chociaż wyglądało to mało śmiesznie. Była strasznie zmilitaryzowana sytuacja. To była rocznica 13 grudnia. W Łęczycy stale coś się działo. Któregoś dnia słyszemy łomot w drzwi. „Pakować się”. I wtedy wyciągało się koc. W koc pakowało się miskę, kubek i inne swoje klamoty. Zeszliśmy na dół, wzięli nas do magazynu. W magazynie musieliśmy zdać wszystkie więzienne ubrania i wziąć swoje własne. Tak więc dostaliśmy czapki, kurtki, rękawice, szaliki, buty zimowe, bo przecież aresztowano nas 16 grudnia. Ubraliśmy się w część tych rzeczy, a resztę wzięliśmy pod pachę. Na dziedziniec, obstawa, psy, żołnierze, uzbrojeni strażnicy. Podjechał samochód, zapakowano nas do więźniarki i gdzieś ruszyliśmy. Wyjechaliśmy, a ponieważ był to bardzo gorący maj to blaszana więźniarka zaczęła się szybko nagrzewać. Było nas trochę więcej niż w momencie przyjazdu, bo w międzyczasie dowieźli kolegów z Łodzi. Poza tym siedzieli z nami także ludzie z Warszawy, z Huty Warszawa, oraz z innych miejscowości; od Warszawy, aż po Nowy Sącz. Mniej więcej w takim towarzystwie siedzieliśmy wspólnie. Ta buda zaczęła się nagrzewać. Starszy człowiek z Łodzi zaczął prawie umierać na serce, a my zaczęliśmy pomału rozbierać się z tych zimowych ubrań. Siedzieliśmy tylko w slipach, w spodenkach, a po nas ciekł pot. Samochód nie chciał się zatrzymać, bo jak jedzie więźniarka to się nie zatrzymuje. Zatrzymaliśmy się na chwilę, chyba dopiero w Kielcach,

albo w Radomiu. Tam mogliśmy wyjść, pójść do toalety i trochę schlapać się zimną wodą. Później samochód znowu ruszył. Było w nim maleńkie okienko, a właściwie to nasza część była odgradzona siatką i blachą od części, w której siedzieli strażnicy, a dopiero potem była szoferka. Strażnicy mieli uchylone drzwi i przez te uchylone drzwi można było zobaczyć, że wjeżdżamy do jakiegoś miasta. W pewnej chwili patrzę, a ja jadę Męczenników Majdanka. Dwa kroki stąd jest ul. Puchacza i blok, w którym spędziłem sporo lat. Po drugiej stronie jest Zakład Remontowy Energetyki, w którym pracowałem i działałem w "Solidarności", tu LZNS-też znane mi i ważne miejsce dla "Solidarności". A tutaj normalne życie sobie płynie. Jedziemy w tej więźniarce, nikt nie zwraca na nas uwagi. Na przystanku stoją sobie ludzie, czekają na autobus. Normalnie życie sobie płynie, a my kurcze jak z innego świata. Nawet nikt nie zwrócił uwagi, że więźniarka jedzie, a w więźniarce ludzie z "Solidarności". No i pojechaliśmy dalej zastanawiając się, w którym kierunku i gdzie jedziemy. Wieczorem wjechaliśmy na jakiś dziedziniec. Otworzyli budę na podwórku. Znowu oddział strażników czekający na nas. Wysiedliśmy, do magazynu, wydali nam jakieś rzeczy, swoje zostawiliśmy. Rozprowadzili nas po celach. Ponieważ był wieczór, usnęliśmy. Rano zaczął chodzić po celach lekarz, i on pytany o to, gdzie jesteśmy powiedział: „A widzicie te hałdy za oknem? To już Rosja”. A był to Hrubieszów. Więzienie jest tam nad Bugiem, i faktycznie jakieś hałdy po drugiej stronie widać. Resztę mojego czasu w więzieniu spędziłem w Hrubieszowie. Któregoś dnia wywołali mnie z celi, poprowadzili do magazynu, wydali mi rzeczy osobiste, zaprowadzili do biura i kazali podpisać papier. Za chwilę zobaczyłem żonę. Także Sławek Smyk wyszedł w tym samym czasie.

Data i miejsce nagrania	2005-07-03, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Choroś
Transkrypcja	Justyna Choroś
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"